

Tadeusz Opiola

U dziadka po błogosławieństwo

Pod strzechą czterech pokoleń

Niespodziewanie udała się Marcinowi Żaloga posłubna wizyta w Porębie, gdzie chciał swą żonę sprezentować rodzinie ojca i zaszczerpić w niej miłowanie swej rodowej wsi. Jeszcze u stryka Macieja poszło jakotako, choć nieszczególnie. Stryk zaważał przywiezionej mu przez siostrzeńca tabaki i pochwalil jej smak, a stryjna Agata poglaskała w plecy młodą Żalogową i grzecznie zachęcała ją przy śniadaniu:

— Uspij se jeszcze mleka, co se masz żałować, usyp se jeszcze! Marcin Żaloga kreślił się przy tych serdecznościach kółko swej żony jak na czatach i wypatrywał, czy jej nie razi proste urządzenie chaty i niewymyślna gościna krewniaków, ukradkiem zaś i nie bez niepokoju spoglądał na stryków, jakie wrażenie wywołała przywieziona z wielkiego miasta żona. W pewnym momencie stryk Maciej odezwał się:

— Dopatrywał się o ciebie dziadek i radby was oboje zobaczyć. Poszli zatem we trójkę do dziadka, Wojciecha Żaloga, za Duńajczyk, który rodowe grunty Żalogów przecina na dwie połowy i często po wylęgach przetrzucając swe koryto, staje się przyczyną sporów rodzinnych.

— Tego roku — objaśniał po drodze stryk — znów urwał mi kawałek, łaki i ojcę przydzielił, ale już nie swarzyłem się o to, bo ojciec od starości ledwie ewajuja.

W chacie dziadka Wojciecha powitano Marcina Żalogę i jego żonę bardzo serdecznie, poprzyśwano ławy, proszono siadać. Dziadek nie zeszli jednak z przypiecka, gdzie siedzieli z różańcem w rękach, w zrzebnej kuszuli i portkach, z kożuchem zarzuconym na ramiona. Był to zgrzybiały już wiekiem chłop i jego siwa głowa trzęsła się od starości, jakby wszystkim chciała zaprzeczyć. Odgarnawszy z czoła cienki kosmyk włosów, patrzył obojętnie, jakby z długiego snu nagle budzony.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — skłonił się przed swym dziadkiem Marcin Żaloga, obok którego stała bezradnie jego żona. — Jak się wam powodzi?

— Jak zwyczajnie człowiekowi — padła po chwili odpowiedź z przypiecka. — Dziewięćdziesiąt lat, to nie fraszki. Toż żonę przywiózł pokazać?

Halina Żalogowa omal nie uśladła na wstępie tego przeglądu i tylko dzięki przytomności Marcina Żalogę udało się na nogach, a dziadek poprawił kożuch na ramionach, brząkał różańcem i tak zagaił powitaczkę:

— Z gęby walna kobieta. Siy-szałem, że szlachcianka! Halina... W Borku żadna kobieta tak nie nazywa się. Przecie to nie szkodzi. Ale musisz się dosyć naszkrobać piórkiem w urzędzie, żeby taką lanie odchowić.

Dla odwrócenia uwagi od tematu, pod którego ciężarem młoda Żalogowa aż uginiała się, stryk Maciej zapytał dziadka o zdrowie.

— Tyle go mam, że na starość wystarczy. Ale już na świat boży ciężko mi wychodzić, chyba za potrzebą. I do roboty już niezdatnym, psuję tylko chleb, gadam różnec i coraz bliżej podchodzę do Pana Jezusa.

Potem stryk wspominał coś o pogodzie i tegorocznym urodzaju. Dziadek jednak nie dał się zbić z tropu i znów powrócił do odwróconego w inną stronę tematu.

— Walna kobieta ta twoja Halina. Młody jeszcze, toś pewnie nie patrzył, czy tak do roboty zdalna. A ciekawym bardzo, siła wzięła za nią? Chyba przynasz się...

Marcin Żaloga wolal nie mówić, jak tam było z posagiem żony, trudno jednak było wykreślić się milczeniem, wykrztusił więc jakąś kwotę, która ukontentowała dziadka. Stryk jednak obruszył się i zauważył:

— Niewieleś się pewnie targował, choć jesteś galant nie od rzeczy, w szkołach długo uczony i nawet trzy razy tyle wart. Młynarz z Hyżnego dał córce na własno pięć tysięcy guldenów i jeszcze musiał potem dopłacić.

W dalszej rozmowie ujawniło się, że żona Marcina Żalogi wywodzi się z Malawskich.

— Czy to nie z tych Malawskich, co mieli Malawę pod Brzostkiem? — zagadnął dziadek.

Tu dopiero rozwiązał się nieco język Halinie Żalogowej, która wreszcie usiadła na ławie i się dając jak na cenzurowanem, albo nawet przed sądem, w czasie strykowych wywodów omal nie poderwała się z miejsca i tylko podziwiał na męża, któremu nie chciała sprawić przykrości, powstrzymała ją od mimowolnej demonstracji, której powodu nie zrozumieliaby zapewne troskliwy o swego wnuka Wojciech Żaloga.

— O tak! — podchwyciła pytanie — z tych samych Malawskich, herbu Jastrzęb. Dziadek mojego ojca, który o tem często opowiadał, jeszcze gospodarował w Malawie.

— Dziś już tam niema folwarku — wtrącił stryk — dwór był drewniany i jeszcze pamiętam, jak go parcelanci rozbierali. Ale grunta nie zmarowały się.

Tymczasem dziadek Wojciech bardzo zasumował się i utkwisz przygasły wzrok w oknie, długo poprawiali spadający im z ramion kożuch, brząkali niecierpliwie różańcem, coś mamrocząc pod nosem, wkońcu skupili się w sobie i twarz ich nabrękała ożywieniem.

— To teraz już wiem! I ty się zaraz dowiesz, bo nie wytrzymam i opowiem, com o tem słyszał.

Wojciech Żaloga zsunął się ciężko z przypiecka i uroczyście przystanawszy, zachwiał się chwilę na nogach, potem je wyprostował i stojąc okrzakiem wykrztusił:

— Słuchaj, Halino — i ty posłuchaj, Marcinie!

Słuchali oboje, a stryk Maciej

zniciertliwiony przynaglał:

— No już powiedzcie, ojciec!

— Słuchajcie! Kto by to uwierzył, że twój pradziadek, maly kęs i tylko taka przygoda, nie zabiły twojego dziadka!

Usiadł na zydlu i całą dlonią zaczął grzebać w popiele, a w głowach Marcina i Haliny Żalogów przemknęła w tym momencie jakaś niesamowita błyskawica, z iskry popieliska zrodzona. Halina przesunęła się na ławie. Dziadek dalej grzebał i tylko palce mu dygotały. Wreszcie chrząknął.

— Jeden pradziadek z Malawy, drugi z Poręby. A to się ładnie skończyło to sąsiedztwo. Oba pewnie się w tej chwili w grobach przewrócili i nie mogą się nadziwić, jak się to stało, żeście się pobrali. Taki widać depust Boży!

Stryk Maciej przerwał swój na gły frasunek niuchem tabaki. Kichnął.

— Niech ci będzie na zdrowie! I im także. Ale musisz się dość piórkiem naszkrobać w urzędzie, żeby taką lanie odchowić... Malawskiego nie znam, a może mnie jeszcze na świecie nie było wtedy. Ojciec tylko czasem o nim opowiadał, to znaczy twój pradziadek.

Niewiele z tych opowiadań w pamięci Wojciecha Żalogi zostało, ale tyle zostało, by rozumieć, dlaczego obaj pradziadkowie przewrócili się w grobach, gdyby mogła dotrzeć do nich wieść o małżeństwie Marcina i Haliny.

Był to rok 1846, srogi miesiąc luty. Rząd austriacki pchnął pańszczyźnianych chłopów na szlachtę. Najbardziej rozjuzdził się tarnowski starosta Breinl i na jego wezwanie dawny kapral austriacki, Jakób Szela ze Smarzewej pod Brzostkiem, zorganizował bandę, która rozbila śpiący oddział z Tarnowa oddział powstańców. Pradziadek Marcina Żalogi miał „zrobić porządek” w Malawie i dziedzica Malawskiego dostawić do Tarnowa, żywego lub trupa.

Odtworzywszy w swej pamięci ten tragiczny w historii chłopiejskiej epizod, Marcin Żaloga nawet nie spojrzal w oczy swej żony i słuchał skamieniały opowieści, która tak cudacznie załamała się w jego małżeństwie. Dlaczego przedtem nie dopytywał się tego zdarzenia, dlaczego dziad milczał o nim upornie?

— Czasem lepiej nie mówić o tem, co zaszło — tłumaczył o Wojciech Żaloga. Takie były czasy niemiłosierne. Powiadał ojciec mój, że Szela dostał od cesarza cały worek dukatów, ale nie pożywił się nimi. Nie wiem, czy to prawda, ale kto się w tej rabacji nie pożywił, a nikt się pożywił, tego ród musiał wyginać. Po Szeli nawet ślad w Smarzewej nie pozostał. Ale ojca mojego nie omaniało bogactwo Malawy. Zawrócił z drogi i tak się wszystko rozszło po kościach. A miał się za co rachować z twoim pradziadkiem. Może i lepiej...

Na ścianie tykał w drewnianej oprawie ścienny zegar. Tyle czasu upłynęło od tych niemiłosiernych roków, tyle przeznaczeń! Zachowywał się tylko gadki poniektóre o przerywaniu dziedzica piłą drewnianą na dwoje, o dukatach cesarskich i o tem, jak pewna kobieta spod Tarnowa gotowała barszcz z kawą, której garniec przyniósł jej chłop z rabacji.

— Wszystko na świecie przeznacza się — westchnął Wojciech Żaloga — i niczemu nie trza się dziwić.

Alina Orzechowska

Wigilijne echa

0 nieznanym żołnierzu i jego „gwiazdce”

W czasie przedświątecznych porządków w biurku, zawałonem słosem najrozmaitszych papierów, broszur, wycinków z gazet i luźnych notatek, wpadł mi w ręce list. Różowa, pretensjonalna koperta, zaadresowana do mnie dużym, niezgrabnym literami — wewnątrz zagryzmolony, poplamiony kleksami arkusik papieru. List ten musiał pisać ktoś, kto rzadko ma do czynienia z piórem i atramentem, gdyż litery i zdania układały się w malownicze „schodki”, bądź zachodziły jedne na drugie; papier był wymięty, wybrudzony palcami, rozgi pozawiane.

Rzut oka na podpis, zakończony zamasyztem zakreślasem, przypomniał mi odrazu historję różowego świstka, który przeleżał tyle czasu zapomniany, między kartkami starego podręcznika geometrii...

Było to w czwartę, może piątą klasie. Na dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia wśród uczennic naszego gimnazjum panowała atmosfera radosnego podniecenia.

Tego roku miałyśmy po raz pierwszy wysłać podarunki gwiazdkowe dla żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. Nie wiem kto rzucił to hasło, kto podsunął myśl o sprawieniu gwiazdki KOP-istom przez liczne rzesze warszawskich pensjonarek i uczniów. Dość, że projekt przypadł nam wszystkim bardzo do serca. Nie mówiło się już i nie myślało o niczem, tylko o paczkach świątecznych dla kresowych żołnierzy.

Każda z nas miała przygotować jedną paczkę, w której znalazłoby się trochę świątecznych słodyczy, papierosy, mydło, skromny podarunek gwiazdkowy i list z życzeniami i opłatkiem. Nad wyborem podarunku, rodzaju słodyczy, treści świątecznego listu, ba! nawet zapachu mydła toczyły się istne wojenne narady.

— Ze słodyczy najlepiej pierniki i cukierki — radziły praktyczne gosposie — ciasto może się zeschnąć, zanim paczka dojdzie. Papierosy... — skąd można wiedzieć jakie? W tej materji zabierali głos bracia i ojcowie, oraz — znajomi uczniacy. Naturalnie musiały być najlepsze, „niech tam biedak sobie użyje raz do roku” — rozrzucały się kłliwe serca pensjonarek. Mydło kupowało się największe z silnym zapachem róży czy fiołków, „musi pachnieć, że ojeji!” — informowało się subiekty w składzie aptecznym.

Podarunki były różne. Ciepłe, welniane skarpetki, rękawiczki, skórzana portmonetka z nowiutkim groszem na szczęście, chustki do nosa, jakiś ładny, czerwony grzebyk, notes w kolorowej oprawie.

Najwięcej kłopotu sprawiał list: jakoś dziwnie było układać świąteczne życzenia, przeznaczone niewiadomo dla kogo. Ostatecznie wspólnymi siłami napisałyśmy jakoś owe listy i po tygodniu kilkadziesiąt jednakowej wielkości paczek powędrowało w świat, by w dzień wigilijny znaleźć się na wspólnym żołnierskim stole, gdzieś w zapadłej, głuchej wiosce pogranicza.

Minęły święta, wróciły zwykłe, szare dni, o „gwiazdce” wszyscy już dawno zapomnieli, wciągnięci w nieublagane tryby codziennych zajęć. Minął huczny Sylwester. Nowy Rok, Trzech Króli, a wreszcie w miesiąc po świątach przyszedł ów list. Różowa, pretensjonalna koperta, zaadresowana niezgrabnymi literami. List brzmiał następująco:

„Wielce Szanowna Pani! Ośmielam się podziękować Wielce Szanownej Pani za paczkę na święta i list taki piękny z opłatkiem, cośmy wszyscy tu chłopaki czytali razem na głos, niby Ewangelię. My tu smutne życie mamy, ciężką służbę, a że śnieżyca i mrozy teraz okropne, więc szczególnie trudno wytrzymać. Ja pierście święta tu byłem w korusie i jak paczki dla nas przywieźli, co się nikt nie spodziewał, to wstyd pisać co się działo z radością. Wszyscy przedko papier zdzierali, żeby zobaczyć co tam też jest. Jąbym tego nigdy nie powiedział, ale że Wielce Szanownej Pani nie znam i pewnie w życiu nie zobaczę, bo w Warszawie nigdy nie byłem, a możeby Pani znać prostego żołnierza nie chciała, to powiem, że płakatem, jak zobaczyłem to wszystko i ten list z opłatkiem. Ja jestem z biednej rodziny, rodzice oboje już nie żyją, to pierwszy raz w życiu prawdziwy prezent na Wigilię Świętą dostałem i parę słów od serca. To i powiedzieć nie umiem jak trzeba, jaki wdzięczny jestem i całe życie dobroć Pani pamiętać będę.

Z poważaniem
Franciszek S....

Taki to był ten list z dalekiej wioski pogranicznej. List od nieznanego mi człowieka, który nigdy w życiu nie dostał nic na „gwiazdkę”. Był żołnierzem, cierpliwie, ofiarnie znoszącym każdy trud, narażonym w każdej chwili na niebezpieczeństwo. Ale przecież pod szorstkim suknem żołnierskiego munduru kryje się serce spragnione dowodów dobroci i troskliwe, serdeczne pamięci, serce spragnione tradycyjnej, dziecinnej „gwiazdki”...

Pasterze śpiewają na multankach grają...

Najbezpośredniejszym wyrazem ludzkich uczuć, smutków i radości był od prapoczątku śpiew i taniec. Tańcem i śpiewem obchodził lud podniosłe i uroczyste chwile w swym życiu.

Święta Bożego Narodzenia od dawien dawna obchodzone były przez lud ze specjalnem wzruszeniem i głęboką powagą. Z uczuciowego, pełnego kłliwości i miłości ustosunkowania do Dzieciątka rodzi się samorzutna pieśń nabożna — kolenda. Niewiadomo wprawdzie do tychczas, czy kolendy zrodziły się pod wiejską strzechą, czy w dworach polskich. W każdym razie udział twórczości ludowej w ich powstaniu jest bezwątpienia silny, choćby w formie, w jakiej lud je na własne przejęł i do psychiki swojej dostosował.

Dzisiaj, w dobie tramwajów, te-

lefonów, radja i największych technicznych wynalazków, wzrusza nas ciągle jeszcze i zawsze jednak do naszego serca przemawia, prosta, rzetna czy też skoczna nuta kolendy. I dziś, jak dawniej, w czasie świąt Bożego Narodzenia gości w domach polskich „Śpiew Bożonarodzeniowy”. Świąteczny program Polskiego Radja ułożony został również pod znakiem kolendy o najróżnorodniejszym charakterze: kolendy starodawnej, regionalnej, „kantyczek”, kolend śpiewanych przez chóry ludowe, chóry dziecięce, kolend w wykonaniu organowem, orkiestrowem i t. p. Aparaty radiowe niosą w domy polskie kolendę, która nie tylko wzrusza serca radjosluchaczy, ale również zapozna ich z najstarszymi pieśniami Bożego Narodzenia.

Wiktor Podolski

Boże Narodzenie w dawnej grafice

Obawiam się, że ten i ów historyk sztuki — jeśli wpadnie mu w ręce niniejszy mój elaborat — będzie bardzo zgorzchny. „Tego nie wiedział, o tem zapomniał, to przepuścił!”... Bardzo być może. Ale ja nie jestem historykiem sztuki. Sięgam poprostu do swej podręcznej biblioteczki, by sobie i czytelnikom, z okazji Świąt Bożego Narodzenia, przypomnieć, jak artyści ubiegłych epok odzwierciedlali w swoich rycinach ten temat. Sztuka takiego np. wieku XV-go uprawiała niemal wyłącznie tematy religijne, więc zapewne wśród nich wyobrażeń Świętej Rodziny w stajence i scen, z narodzeniem Chrystusa, związanym tuż przy chrześcijańskim płocie. Zza płotu wyglądała zaciekawie, wół i osioł, z wielkiem zainteresowaniem patrząc na Dzieciątka. Wół nawet ma, zdaje się, ochotę polizać Je w rączkę.

Co do stajenki, to wyobrażano ją zawsze, na tych najstarszych rycinach, nader ubogą. Był to poprostu daszek, kryty zapewne trzciną, wsparty na słupkach, lub palikach, a nawet cienkich pniaczkach. Zebaczmy później, jak ta stajenka rozrośnie się w wielką i okazałą budowlę, traktowaną jako motyw dekoracyjny, ale nad przysmami i klasycznymi kolumnami nawet, pozostanie zawsze ubogi, dziurawy daszek — wspomnienie dawnej ubożej stajenki bez ścian. Autorzy tych najstarszych rycin, przeważnie anonimowi, uważali chyba również ten fragment obrazka za najmniej ważny, zgoda niepotrzebny, bo tak go nieraz rozmieszczały w prostokątach kompozycji, że z całej nawet tak prostej stajenki pozostał zaledwie jeden słupek i niewielki skrawek dachu.

Jeszcze u Schongauera, słynnego malarza i rytownika niemieckiego (1450 — 1491 r.), w jego miedziorycie „Narodzenie Chrystusa Pana”, domyślamy się zaledwie stajenki, ze strzępka strzechy i jednego słupka (drugi został umieszczony na lewym boku ryciny). Mały Jezus leży na ziemi, ale już nie w promienistym otoku w kształcie mandorli, tylko na skrawku szaty matczynej, pod który troskliwa Matka podesłała rozpostarty snopek. Jednak i skrawek szaty i promienieście rozłożony snopek, kształtem przypominają dawny świetlisty otok i z niego się zapewne wywodzi.

Wielkie zmiany, w ujęciu tego tematu, widzimy u najbliższego Schongauerowi, Dürera (1471 — 1528 r.). Zamiast dawnej stajenki mamy teraz okazały budynek, prawdziwy dom mieszkalny (dla pozorów trochę zrujnowany), złożony z innymi zabudowaniami i posadający podwórze. Po szczytowej ścianie i układzie konstrukcyjnym poznajemy styl tej budowl, z Północnych Niemiec. Dół, wsparty na słupkach, nie ma ścian od strony widza, widzimy więc wnętrze, ze schodami w głąbi i oknami po lewej stronie. Mały Jezus w pieluszkach leży na czworobocznym kamieniu, czy też pniaku, a Matka Boska kłęczy przed Nim. Nie jest to już dziecinka, jak u Schongauera, lecz zażywna, w średnim wieku, niewiasta. Dom okalają schodki, a na podwórzu znajduje się studnia. Święty Józef wyciągnął właśnie ze studni kubel wody i przelewa ją do dzbanu. U progu, koło schodów, widzimy gościa, dalej za nim oddzielnie wybudowaną stajnię dla bydła. Słowem, nie jest to już Narodzenie, lecz obraz życia rodzinnego, życia św. Rodziny.

Współczesny Dürerowi szycharz włoski, Niccolò da Mode-

ria in Exelcis Deo. Rola bydła, wółu i osła, jest nieokreślona: czasem znajdują się tu w pobliżu i schylają się nad Dzieciątkiem, jakby przeczującą ważność chwili, czasem są od głównej sceny dość odalone. Na reprodukcji drzeworytu, z pierwszej połowy XV-go wieku, którą w tej chwili mam pod ręką, widzę wółu i osła daleko w tyle za Matką Boską, jak zajądają sobie najspokojniej z pełnego żłobu. Św. Józef na tym drzeworycie trzyma w ręku świecę woskową. Pewna odmiana stajenki miniaturową, którą oglądam w modlitewniku francuskim z początku XV-go wieku. Mały Jezus leży tym razem w żłobku, stojącym tuż przy chrześcijańskim płocie. Zza płotu wygląda zaciekawie, wół i osioł, z wielkiem zainteresowaniem patrząc na Dzieciątka. Wół nawet ma, zdaje się, ochotę polizać Je w rączkę.

Co do stajenki, to wyobrażano ją zawsze, na tych najstarszych rycinach, nader ubogą. Był to poprostu daszek, kryty zapewne trzciną, wsparty na słupkach, lub palikach, a nawet cienkich pniaczkach. Zebaczmy później, jak ta stajenka rozrośnie się w wielką i okazałą budowlę, traktowaną jako motyw dekoracyjny, ale nad przysmami i klasycznymi kolumnami nawet, pozostanie zawsze ubogi, dziurawy daszek — wspomnienie dawnej ubożej stajenki bez ścian. Autorzy tych najstarszych rycin, przeważnie anonimowi, uważali chyba również ten fragment obrazka za najmniej ważny, zgoda niepotrzebny, bo tak go nieraz rozmieszczały w prostokątach kompozycji, że z całej nawet tak prostej stajenki pozostał zaledwie jeden słupek i niewielki skrawek dachu.

Jeszcze u Schongauera, słynnego malarza i rytownika niemieckiego (1450 — 1491 r.), w jego miedziorycie „Narodzenie Chrystusa Pana”, domyślamy się zaledwie stajenki, ze strzępka strzechy i jednego słupka (drugi został umieszczony na lewym boku ryciny). Mały Jezus leży na ziemi, ale już nie w promienistym otoku w kształcie mandorli, tylko na skrawku szaty matczynej, pod który troskliwa Matka podesłała rozpostarty snopek. Jednak i skrawek szaty i promienieście rozłożony snopek, kształtem przypominają dawny świetlisty otok i z niego się zapewne wywodzi.

Wielkie zmiany, w ujęciu tego tematu, widzimy u najbliższego Schongauerowi, Dürera (1471 — 1528 r.). Zamiast dawnej stajenki mamy teraz okazały budynek, prawdziwy dom mieszkalny (dla pozorów trochę zrujnowany), złożony z innymi zabudowaniami i posadający podwórze. Po szczytowej ścianie i układzie konstrukcyjnym poznajemy styl tej budowl, z Północnych Niemiec. Dół, wsparty na słupkach, nie ma ścian od strony widza, widzimy więc wnętrze, ze schodami w głąbi i oknami po lewej stronie. Mały Jezus w pieluszkach leży na czworobocznym kamieniu, czy też pniaku, a Matka Boska kłęczy przed Nim. Nie jest to już dziecinka, jak u Schongauera, lecz zażywna, w średnim wieku, niewiasta. Dom okalają schodki, a na podwórzu znajduje się studnia. Święty Józef wyciągnął właśnie ze studni kubel wody i przelewa ją do dzbanu. U progu, koło schodów, widzimy gościa, dalej za nim oddzielnie wybudowaną stajnię dla bydła. Słowem, nie jest to już Narodzenie, lecz obraz życia rodzinnego, życia św. Rodziny.

Współczesny Dürerowi szycharz włoski, Niccolò da Mode-

Następny numer ABC ukaże się w piątek 27 b. m. o zwykłej porze